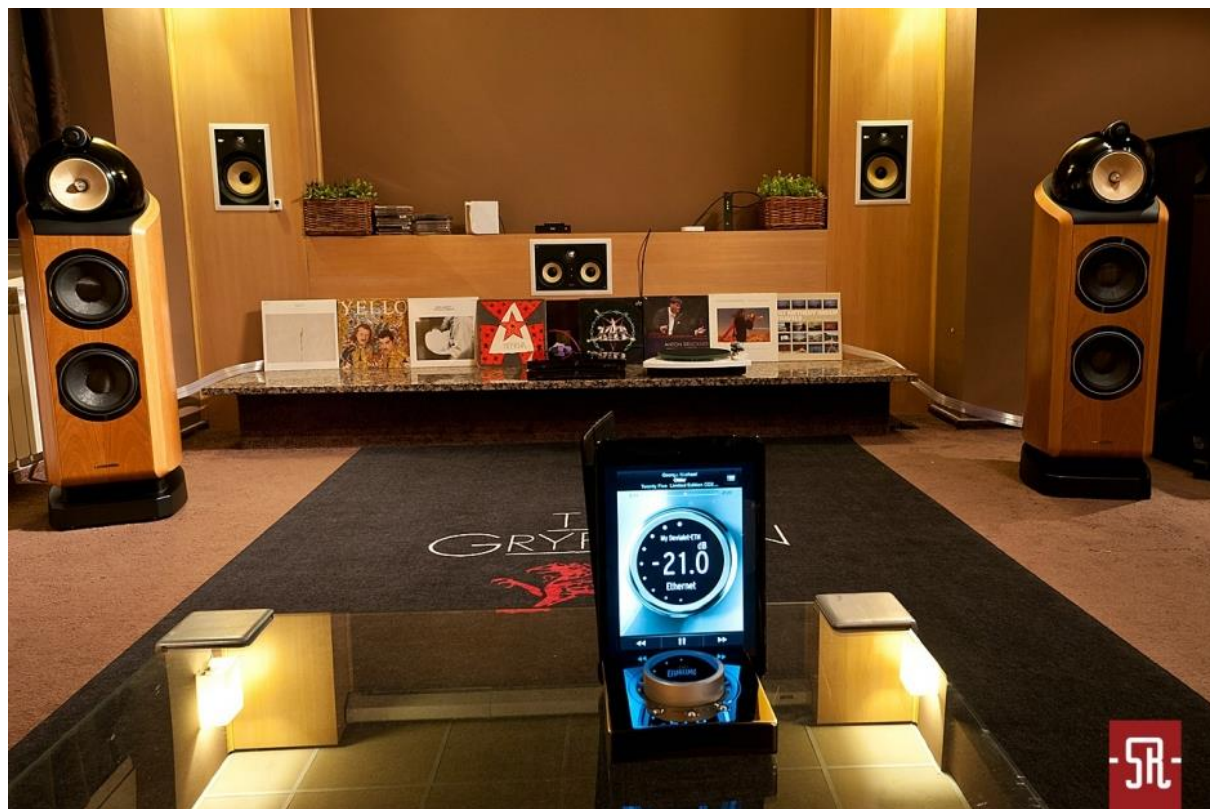


Poranek z Devialetem w Top HiFi



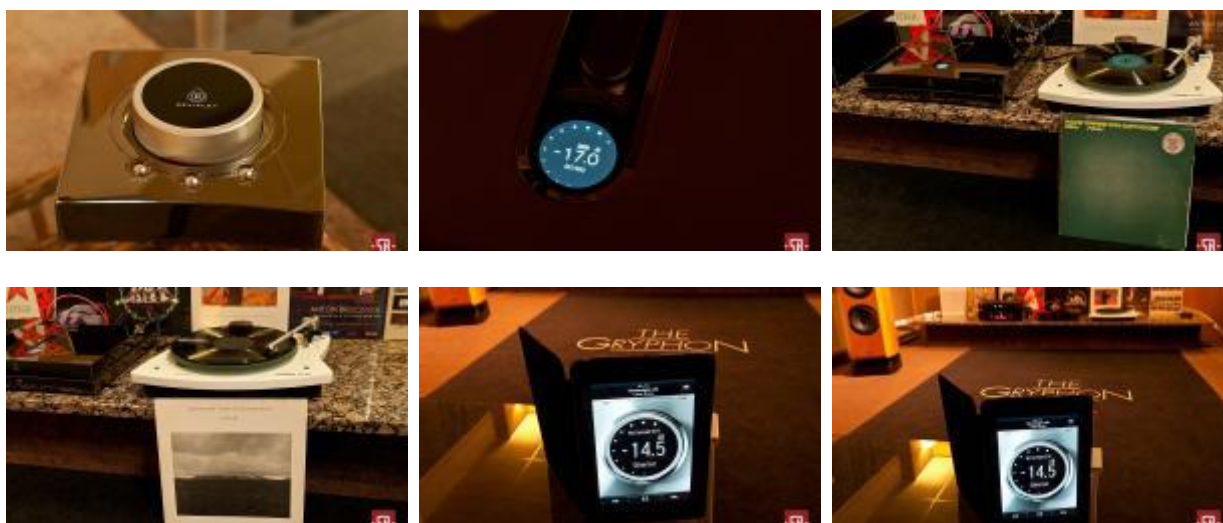
Początek wakacji to okres masowych wyjazdów urlopowych. Jedni jadą bliżej, drudzy dalej a znam też takie przypadki, które w letnie miesiące nie ruszają się z miejsca zamieszkania na krok, czerpiąc radość z tak wydawałoby się prozaicznych rzeczy, jak np. brak korków w godzinach szczytu. Generalnie przecież chodzi o to, by każdy spędzał wolny czas tak, jak mu najwygodniej i robił to, co sprawia mu największa przyjemność nawet, jeśli jest to słodkie nicnierobienie. Jednak w związku z zaistniałymi tzw. okolicznościami przyrody naszły mnie niespodziewanie wspomnienia z czasów na tyle zamierzchłych, że część młodszych czytelników może ich nie pamiętać, bądź znać jedynie z opowiadań rodziców. Mowa o czasach, gdy nasze troskliwe Państwo dbało, a przynajmniej starało się dbać, o obywateli zapewniając im nie tylko pracę i lokum, ale również oferując zorganizowane formy wypoczynku w ramach FWP (Funduszu Wczasów Pracowniczych). Nieodzownym, przy tego typu mniej, lub bardziej zorganizowanym pobycie było „bliższe” poznanie współturnusowiczów podczas tzw. Wieczorka Zapoznawczego. Chcąc niejako nawiązać do tej wieloletniej świeckiej tradycji postanowiliśmy spróbować w pewnym sensie zaakomodować ją na grunt audiofilski. Będąc jednak jednostkami z natury nieśmiałymi a przy tym ceniącymi komfort zamiast wyprawy do któregoś z podwarszawskich kurortów oferujących kąpiele błotne, rażenie prądem, wstrzykiwanie, odsysanie czy inne zabiegi upiększające zdecydowaliśmy się na wizytę ..., nie, nie w SPA, lecz w jednym ze stołecznych salonów audio i zamiast gromadki zagonionych przez KaOwca letników wybraliśmy nader intrygującego przybysza z Francji. A tak już zupełnie na serio. W słoneczne sobotnie przedpołudnie udało nam się spędzić kilka godzin w warszawskim salonie Top Hi-Fi & Video Design na ul. Gen. Andersa 12, w którym dzięki uprzejmości dystrybutora mogliśmy poznać się nad (podobno) wszystkimającym Devialetem 250.



250-ka to najwyższa spośród pojedynczych amplifikacji tego francuskiego producenta. Celowo napisałem pojedynczych, gdyż zaglądając do katalogu Devialeta znajdziemy tam 120-kę, 200-kę i właśnie 250-kę, oraz zestawy dual-mono: 400 i 800, które w istocie są niczym innym, jak pracującymi prawie równolegle parami 200-ek, bądź właśnie 250-ek. Owe „prawie” wynika z stąd, iż podczas spinania ze sobą dwóch jednostek należy określić, która z nich pełnić będzie rolę nadrzędną (master), a która podrzędną (slave). Na ewentualne pytanie dotyczące takiego sztucznego mnożenia bytów odpowiedź jest prozaiczna i oczywista – chodzi tylko i wyłącznie o względy finansowe. Jednak tym razem pod uwagę zostały wzięte finanse nie producenta a potencjalnego nabywcy! Po prostu decydując się od razu na zestaw dual-mono płacimy mniej niż za dwa, kupione oddzielnie wchodzące w jego skład moduły. Jeśli myślą Państwo, że to typowy zabieg marketingowy, to na razie nie będę tego dementował, lecz jedynie wspomnę, że różnica pomiędzy ceną zakupu dwóch „oddzielnych” 250-ek i „firmowego” zestawu 800 wynosi drobne 12 000 PLN (bez Złotówki). Jeśli tak wyglądałyby wszystkie dostępne na rynku promocje, to byłbym niezmiernie z tego powodu kontent. I jeszcze jeden drobiazg. O ile dwie spięte ze sobą 200-ki oferują moc wyjściową przy 6 Ω wynoszącą 400, o tyle przy parze 250-ek tworzących 800-kę zamiast spodziewanych 500W dostajemy niejako w gratisie dodatkowe 300W, dzięki czemu nazwa topowej amplifikacji jest w pełni zgodna z oddawaną przy 6 Ω mocą równą okrągłe 800W.



Zanim jednak przejdę do opisu doznań odsłuchowych pozwolę sobie jeszcze na kilka słów o wrażeniach natury czysto estetycznej, bowiem 250-ka, czy to solo, czy w duecie, robi niezwykle pozytywne wrażenie. Jest to bowiem konstrukcja na tyle kompaktowa i zamknięta w tak wizualnie atrakcyjnej formie, że dla osób nieobeznanych z produktami tej marki jej widok wcale nie musi być jednoznaczny z rozpoznaniem w niej urządzenia odpowiedzialnego za wydobywające się z głośników dźwięki, szczególnie jeśli zostanie ją nie ustawioną, jak to zwykle się robi, na dedykowanym stoliku, tylko np. zawieszoną na ścianie. W ultrapłaskim, monolitycznym aluminiowym odlewie stanowiącym górę i ściany boczne urządzenia jedynymi elementami użytkowymi są umieszczone na froncie włącznik w kształcie logotypu producenta, oraz znajdujące się na płycie górnej owalne okienko z niewielkim okrągłym wyświetlaczem dostarczającym niezbędnych informacji o stanie pracy wzmacniacza a w trybie stand-by informujące o tym, z jakim modelem mamy do czynienia. Ostatnia informacja jest o tyle istotna, gdyż w przypadku Devialeta, pomijając pełną unifikację designu wszystkich przedstawicieli rodziny, ewolucja może odbywać się zarówno poprzez fizyczną zmianę urządzeń na modele wyższe, czyli np. ze 120-ki na 200-kę, bądź 250-kę, co niestety wiąże się z pewnymi kosztami, lub dla osób zadowolonych z obecnego stanu posiadania poprzez całkowicie darmowy upgrade oprogramowania sterującego udostępnianego na stronie internetowej. Dzięki takiemu rozwiązaniu nie wychodząc z domu zyskujemy np. większą moc, nowe funkcjonalności i co ma niebagatelne znaczenie, również komfort psychiczny wynikający z faktu, że producent o nas nie zapomniał i cały czas dba, abyśmy my o nim również nie zapomnieli zaglądając od czasu do czasu na jego stronę i sprawdzając, czy przypadkiem z naszego wzmacniacza nie uda się wycisnąć jeszcze jakiś ukrytych do tej pory umiejętności.



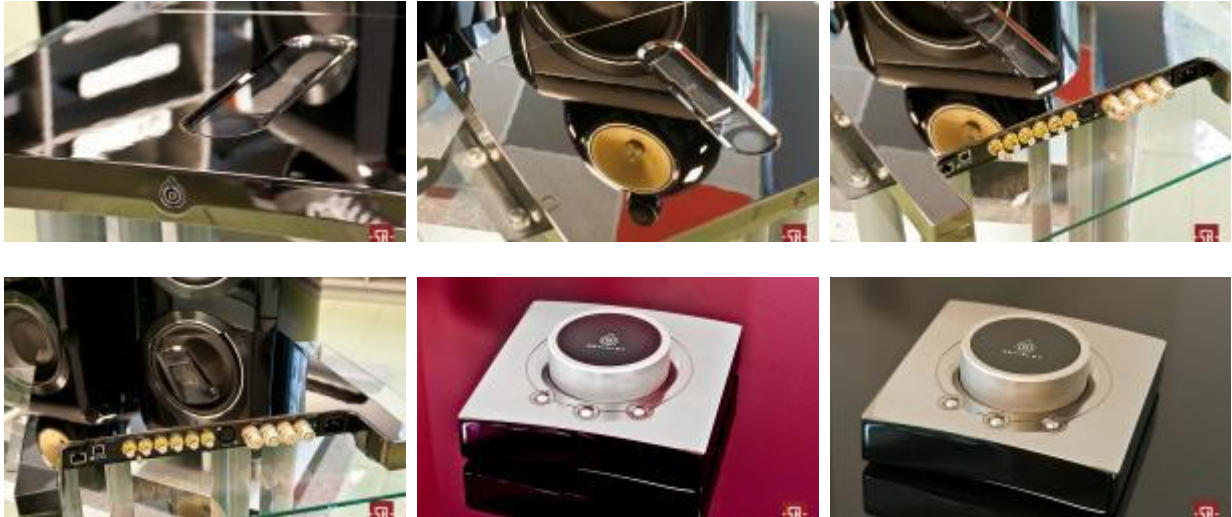
Na chwilę obecną 250-ka dostępna jest w wersji wykończenia chrom „polerowane lustro”, z którą mieliśmy przyjemność się zapoznać, oraz czarnym chromie, choć z tego co zdążyliśmy się dowiedzieć producent jest na tyle elastyczny, że z chęcią wykonuje wersje customizowane – na indywidualne życzenie klienta (oczywiście za odpowiednia dopłatą). Ściana tylna, ze względu na swoją znikomą wysokość przynajmniej z pozoru wydaje się dość minimalistyczna, jednak pozory mylą. Urok Devialeta tkwi bowiem w pełnej konfigurowalności i funkcje praktycznie każdego z sześciu gniazd RCA można ustawiać

niemalże dowolnie. O ile wystartować możemy z pary analogowych wejść RCA i czterech wejść cyfrowych RCA uzupełnionych o AES/EBU, dwóch wejść optycznych, jednego wyjścia słuchawkowego i gniazda USB, to kilkoma kliknięciami wejście liniowe może zyskać zdolność współpracy z wkładkami MM/MC, kolejna para RCA z wejść cyfrowych stać się analogowymi, jedno wyjściem na subwoofer a kolejne z wejścia może przeistoczyć się w wyjście. Dodając do tego port Ethernet i gniazdo na karty SD (do wgrywania nowego oprogramowania) okazuje się, że z bez problemu powinniśmy obsłużyć Devialetem nawet bardzo rozbudowany system. Terminale głośnikowe są oczywiście (ze względu na brak miejsca) pojedyncze a listę przyłączy zamyka gniazdo zasilające IEC.

Patrząc na zdjęcia zwrócili z pewnością Państwo uwagę, że panel z ww. interfejsami jest dość mocno cofnięty w stosunku do krawędzi tylnej i ukryty pod całe szczęście zdejmowalnym „okapem”. Dzięki temu esteci mogą ukryć nie zawsze urodziwe okablowanie a posiadacze solidnie zakonfekcjonowanych audiofilskich druciszczy nie muszą z Devialeta bądź z żalem rezygnować, bądź idąc na kompromis zmieniać końcówki na dające się wcisnąć w pozostawioną przez producenta przestrzeń (szczerze wyrazy współczucia dla posiadaczy Linnów Klimax).



I jeszcze jeden „drobiazg”, a tak naprawdę główny powód naszej wizyty na Żoliborzu – tytułowy SAM, czyli Aktywne Dopasowanie Głośników (Speaker Active Matching) polegające na dokonywanej w domenie cyfrowej optymalizacji sygnałów dostarczanych do głośników do ich indywidualnej charakterystyki (zmierzonej w komorach bezchowanych Devialeta). Po prostu uznaliśmy, że w ramach zapoznawania się z możliwościami urządzenia warto będzie w kontrolowanych warunkach przetestować jego wszystkie funkcje a do tego potrzebowaliśmy znajdujących się w coraz dynamiczniej rozbudowywanej liście pomierzonych, opisanych i udostępnionych modeli kolumn. Podobnego zdania był również dystrybutor i w sobotnie przedpołudnie w sali odsłuchowej czekały na nas potężne Bowers & Wilkins 802 Diamond. Warto wspomnieć również o tym, że jeśli komuś nie chce się cierpliwie czekać na zgłaszane w ramach akcji "Vote for Sam" (Głosuj na SAM) modele kolumn nic nie stoi na przeszkodzie, by wysłał posiadaną u siebie parę do laboratoriów Devialeta i po tygodniu otrzymał je z powrotem z dedykowanym profilem.



Odsłuch przeprowadzaliśmy początkowo z jedną a pod koniec, w ramach przedsmaku ewentualnych testów już w naszych systemach z dwiema 250-kami pracującymi z maksymalną mocą i napędzającymi wspomniane Bowersy. Wzmianka o maksymalnej mocy nie pojawiła się bynajmniej przypadkowo, gdyż w firmowym konfiguratorze również ten parametr można regulować w nader szerokim zakresie 30- 250W/6 Ω . Resztę toru uzupełniał pracujący jedynie w roli transportu odtwarzacz Moon 750D, gramofon Thorens TD309 z wkładką Audio Technica i okablowanie Nordosta.

Po wstępnej sesji fotograficznej, którą umiłał niezobowiązujący podkład muzyczny w postaci okołojazzowych plumkań w ramach rozgrzewki i kontynuowania akomodacji do zastanych warunków przesłuchaliśmy praktycznie cały album „Songs of Anarchy: Music from Sons of Anarchy Season 1-4”. Zaskakująca zwiewność przekazu, konturowy i zwinny bas przeczyły gabarytom grających, stojących przed nami kolumn. Dodając do tego niezwykle kompaktowe rozmiary napędzającej je amplifikacji byliśmy mile zaskoczeni. Co prawda słycać było „firmową” sygnaturę okablowania Nordosta, jednak stopień jej intensywności uznaliśmy za zauważalny, lecz całkowicie akceptowalny. Po prostu osobiście preferuję mniej neutralne, transparentne podejście do saturacji barw, w jakich przedstawiane są wydarzenia rozgrywające się na średnicy i tego nie ukrywam, lecz zarazem nie zamykam się i nie bronię przed innym spojrzeniem na ten aspekt. Przecież każdy z nas ma własne, maksymalnie zindywidualizowane gusta a o tym, jak powszechnie wiadomo dyskutować nie wypada. Wypada za to pochwalić prezentowany system za osiągniętą synergię. Niezależnie, czy z głośników dobiegał szorstki, chropawy i niemalże garażowy hard rock w stylu „Slip Kid” Anvil featuring Frankie Perez, czy też do głosu dochodziła liryczna i sentymentalna nuta jak np. na „Hey Hey, My My” Battleme cały czas czuć było bezwzględną kontrolę i pełną liniowość. Na bardzo wysokim poziomie obecne było różnicowanie, gradacja jakości materiału źródłowego. O ile „Slip Kid” od strony realizatorskiej niczym szczególnym nie zachwycał, to już na „Hey Hey, My My” sugestywność kreowanej przestrzeni była wręcz zjawiskowa. Takie aspekty jak niezwykle naturalny pogłos, czy nader sugestywne wygaszanie dźwięków były bezdyskusyjne.

Po około godzinie zdecydowaliśmy się na włączenie SAMa, co w pierwszej chwili odczuwalne było głównie na niższej średnicy i basie, które zyskały na masie, wolumenie i sugestywności. Pojawiły się najniższe wybrzmienia, które do tej pory były jedynie sygnalizowane. Góra pasma oczywiście też się zmieniła, lecz charakter zmian był

zdecydowanie delikatniejszy, bardziej finezyjny i wpływał głównie na aspekt uprzestrzennienia, otwarcia się dźwięku. Rozbudowie i to we wszystkich wymiarach, czyli również na wysokość uległa scena. Arild Andersen na „Kristin Lavransdatter” snuł swoją baśń z istic hollywoodzkim rozmachem budując spektakl na potężnym basowym fundamencie i wprost nieprawdopodobnie rozdzielczej, ale zarazem krystalicznie czystej górze. Różnica z SAMem i bez była bezdyskusyjna. Otwartość, rozmach i nasycenie, jakie udało się wycisnąć dzięki pełnej optymalizacji pracy potężnych Bowersów sprawiły, że ich brzmienie, praktycznie całkowicie pozbawione podkolorowań wynikających z niesubordynacji przetworników przypominało niemalże studyjne, możliwie wierne rzeczywistości wzorce. Na „W Hołdzie Mistrzowi” Stanisław Sojka zabrzmiał w sposób równie „studyjny”, bez czarowania i puszczania oczka do publiczności wypchniętą średnicą czy powiększoną, bliższą prezentacją – skróceniem dystansu między wokalistą a odbiorcą.

Zmiana źródła na gramofon początkowo jawiła nam się jako pewna profanacja, gdyż sygnał analogowy w Devialecie poddawany był od razu na wejściu digitalizacji i cała jego dalsza obróbka odbywała się w domenie cyfrowej. Jednak pierwsze takty „Moonlight Serenade” (Ray Brown & Laurindo Almeida) pokazały, że nie taki diabeł straszny, jak go malują i że nie liczy się wykorzystana technologia, lecz umiejętna, właściwa jej aplikacja. W przypadku Devialeta właściwość aplikacji okazała się oczywista, przy czym w zależności od nagrania i preferencji słuchacza SAM był co rusz włączany, bądź wyłączany. Zjawiskowa wręcz gładkość, niesamowita detaliczność i rozdzielczość, zespolone łagodną, muzykalną tkanką sprawiały, że gdzieś po drodze „gubiła się” natywna dla tego formatu pewna niedoskonałość. Muzyka brzmiała teoretycznie lepiej, piękniej, lecz Jacek w końcu uznał, że Devialet w sposób wprost niewyobrażalny „tuninguje” dźwięk, jaki używany podczas odsłuchów niedrogi Thorens byłby w stanie kiedykolwiek zaoferować. To, co w domenie analogowej wydawało się wprost nierealne Devialet osiągnął niejako mimochodem. Wyłączenie SAMa trochę zbliżało jakość przekazu, szczególnie pod względem kreowania przestrzeni i precyzji w lokalizowaniu na niej źródeł pozornych do konwencjonalnego toru. Z SAMem rozdzielczość nie zabijając niejako tożsamej czarnej płytki muzykalności podążała ku wyrafinowaniu wybrzmień skrzących się feerią barw. Ciepły, istic analogowy, lecz dla większości, nawet bardzo zaawansowanych, konwencjonalnych phonostage'y niedostępny poziom prezentacji wyraźnie wskazywał, że pozornie niemożliwe pogodzenie wody z ogniem stało się faktem.

Na zakończenie nie omieszkaliśmy przesłuchać kilku utworów zaczerpniętych z salonowej sieci i zmuszeni byliśmy stwierdzić, że również coraz bardziej popularne plikograjstwo wypadło nieprzyzwoicie dobrze. Ba, pod względem namacalności, wierności w oddaniu emocji odczuwalnie wyprzedziło standardowy, pracujący jedynie w roli transportu odtwarzacz. W plikach był większy spokój, bardziej czarne tło i jakaś wewnętrzna siła, możliwe że wynikająca z przeświadczenia, że prędzej czy później to właśnie pliki zaczną królować na rynku.

Kilkugodzinny odsłuch, a raczej wstępne zapoznanie się z możliwościami Devialeta 250 -ultranowoczesnego serca terażniejszych i przyszłych wybitnie high-endowych systemów pokazał nam nad wyraz dobitnie, jaki potencjał drzemie we właściwy sposób okiełznanej cyfrze. W dodatku jasnym stało się, że mając w swoim systemie Devialeta nie trzeba obawiać się praktycznie żadnego źródła, gdyż ewentualna rekonfiguracja zajmie nam nie więcej niż chwilę a przykładowa zmiana parametrów wkładki ograniczy się do kilku kliknięć. Odpowiedź na pytanie, czy można lepiej jest oczywiście twierdząca, wystarczy dostawić drugą 250-kę i ze spokojnym sumieniem stwierdzić, że ścigany od lat audiofilski króliczek

został schwytyany i właśnie śpi nam na kolanach, ale o odsłuchu Devialeta 800 napiszemy innym razem i tematowi poświęcimy zdecydowanie więcej czasu pastwiąc się nad nim w naszych dyżurnych systemach odsłuchowych.

Serdecznie dziękując za gościnę i merytoryczne wsparcie załodze Top Hi-Fi & Video Design, oraz przedstawicielowi dystrybutora liczymy na to, że jeszcze będziemy mieli niejedną okazję się spotkać a Szanownych Czytelników gorąco zachęcamy do uwzględnienia w swoich planach urlopowych dnia, a nawet dwóch na mniej lub bardziej zobowiązujące odsłuchy rzeczy nowych, ciekawych, lub od dawna odkładanych na później. Wakacje w końcu robi się od pracy i codziennych obowiązków a obcowanie z referencyjnie odtwarzaną muzyką zaliczyć możemy przecież tylko i wyłącznie do przyjemności.

Marcin Olszewski